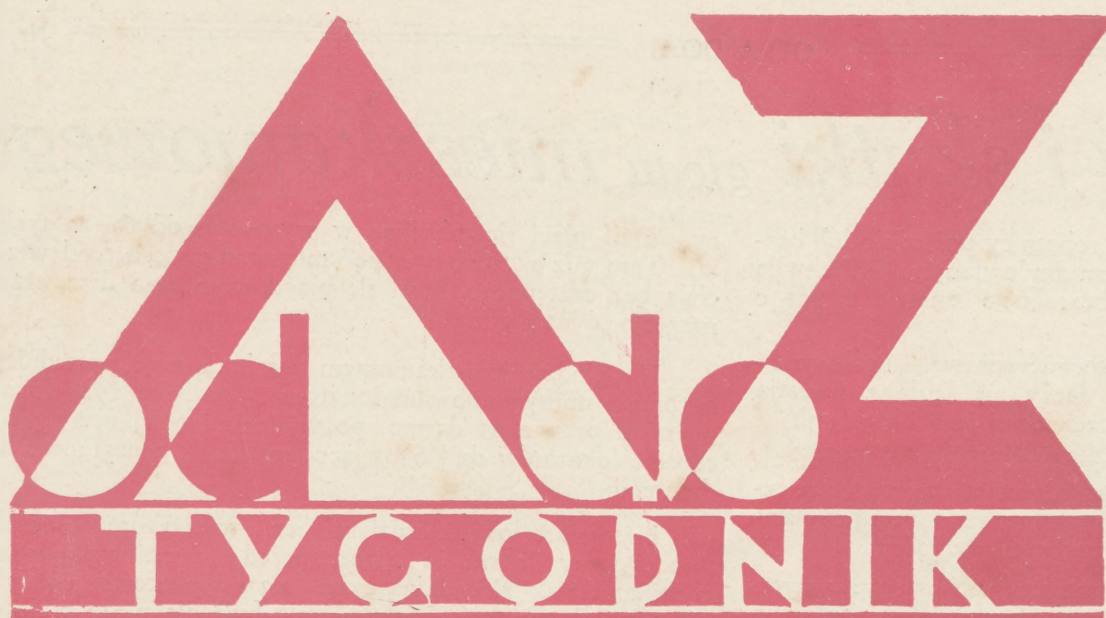




Cena egzempl. 50 gr.

Pren. mies. z przes. 2 zł.

Urzednicy państwowi 25% zniżki.

Ogłoszenia 1/1 str. 400 zł.

„ 1/2 „ 200 „

„ 1/4 „ 100 „

Ogłoszenia w tekście 50% droższe

wiersz mm. przy ukł. 3 łam. 40 g.

**REDAKCJA I ADMINISTRACJA
POZNAŃ, UL. PIEKARY 20-21
TELEFON 22-46**

Konto P. K. O. Poznań 213.934

ROK I.

POZNAŃ, DNIA 30 SIERPNIĄ 1931

NR. 18

Orgja militaryzmu w Niemczech

Międzysojusznicza wojskowa komisja kontrolna powołana do czuwania nad rozbrojeniem Niemiec, w wyniku usilnych zabiegów Stresemanna, została rozwiązana 31 stycznia 1930. Zrzeczenie się przez sojuszników dalszego wykonywania kontroli wojskowej w Niemczech, nastąpiło pod warunkiem, że Niemcy wypełnią szereg ostatecznych zobowiązań rozbrojeniowych.

Jak wynika z opublikowanej 11 czerwca br. noty Brianda, wystosowanej w charakterze prezydenta konferencji ambasadorów do Ligi Narodów, Niemcy zobowiązań tych nie wykonali.

Nota Brianda z powołaniem się na załączone raporty attache wojskowych sojuszników akredytowanych w Berlinie, wyszczególnia trzy dziedziny uchybień rozbrojeniowych Niemiec: 1) Reichswehrę, 2) policję, oraz 3) związki wojskowe.

Z aneksów do noty wynika, że siła liczebna Reichswehry przekracza granicę ustaloną w traktacie wersalskim (100 tys. żołnierzy). Umożliwia to system rekrutacji ułatwiający przedwczesne zwalnianie ochotników zobowiązanych do 12-letniej służby, oraz nieproporcjonalnie liczne zatrudnianie w administracji armji osób cywilnych.

Policja niemiecka posiada wybitnie charakter formacji wojskowej. Szkolona na modłę wojskową, przeważnie skoszarowana, wyposażona jest ona w broń specjalną (samochody pancerne i samoloty), których Reichswehra w myśl traktatu posiadać nie powinna.

Związki wojskowe w Niemczech, spełniają rolę centrów przysposobienia wojskowego obywateli zdolnych do noszenia broni. Ponieważ traktat wersalski zabrania Niemcom wojskowego szkolenia ludności, działalność niemieckich związków wojskowych stanowi obejście bardzo istotnego postanowienia rozbrojeniowego przyjętego przez Niemcy.

Liczba członków zdyscyplinowanych w niemieckich związkach wojskowych sięga przeszło 8 milionów. Do najliczniejszych związków należą:

„Kyffhäuserbund“ obejmujący większość byłych uczestników wojny i podtrzymujący wśród członków ducha skrajnego nacjonalizmu, liczy 3 miliony członków.

„Stahlhelm“ znany z wojowniczych wystąpień, szkolący wojskowo intensywnie swych członków, posiadający własne dobrze zorganizowane kolumny transportowo-samochodowe, które na 3.800 samochodach przewiozły 250.000 osób w ub. roku na zjazd w Koblencji, liczy około 1 miliona członków.

„Reichsbanner“ — organizacja popierana przez sfery centrowo-lewicowe i republikańskie koła rządowe, liczy 3 i pół miliona członków.

Wojskowo zorganizowane i karne bojówki Hitlera, rozporządzające również kolumnami transportowo-samochodowymi, liczyły w końcu ub. roku przeszło pół miliona członków.

Przez rząd zorganizowana i utrzymywana finansowo organizacja „Teno“, która szkoli rezerwy wojsk technicznych, przede wszystkim saperów, oddziały łączności i budowy mostów wojennych, liczy około 300.000 członków.

„Bahnschutz“ — rzekoma policja kolejowa, a w rzeczywistości rezerwa wojsk kolejowych, wyposażona w pociągi pancerne, liczy około 35.000 członków.

„Reitervereiny“ — przygotowujący rezerwy kawalerji i dysponujące własnymi szkołami jazdy, w których szkolą instruktorzy, liczą około 100.000 członków.

Znaczna ilość „Schutzbundów“ i innych lokalnych organizacji szczególnie na wschodzie Niemiec, mają dziesiątki tysięcy członków.

Fakty przytoczone przez Brianda dowodzą, że orgja militaryzmu w Niemczech, w miarę upływu lat dzielących nas od zakończenia wojny nietylko nie słabnie, lecz przeciwnie zyskuje na natężeniu.

W związku z nadchodzącą konferencją rozbrojeniową i przywiązywanych do niej nadziei Niemiec na rozbrojenie sąsiadów, stwierdzenie okoliczności tej oficjalnie przez konferencję ambasadorów, posiada doniosłe znaczenie polityczne. Opierając się bowiem na nocie Brianda, każde z państw reprezentowanych w Radzie Ligi, a więc także i Polska, zażądać może, żeby jeszcze przed zebraniem się konferencji rozbrojeniowej, specjalna komisja stwierdzająca (inwestygacyjna) Ligi Narodów, ustaliła stan uchybień rozbrojeniowych Niemiec.

Marjan Mayer.

Genewa, w sierpniu 1931 r.

Przyczyny i skutki głodu mieszkaniowego

50% ogółu bezrobotnych, to robotnicy pośrednio lub bezpośrednio związani z przemysłem budowlanym. Z chwilą ożywienia ruchu budowlanego bezrobocie zmaleje u nas o 50 procent.

Z tego powinniśmy sobie zdawać sprawę. Problem likwidacji głodu mieszkaniowego łączy się ściśle z kwestją łagodzenia bezrobocia, a nawet częściowej jego likwidacji.

W Polsce brak jest obecnie przeszło miliona izb mieszkalnych. Sytuacja mieszkaniowa przedstawia się więc tragicznie. Niema państwa w Europie, w którym sytuacja przedstawiałaby się gorzej przynajmniej pod tym względem.

Kto jest winowajcą tego stanu rzeczy? Wszyscy: wszystkie sejmy, wszystkie rządy od r. 1919 począwszy i ogromna część społeczeństwa.

Pierwszym aktem doprowadzającym do ruiny własność miejską w Polsce był przepis ustawy o ochronie lokatorów z dnia 28 czerwca 1919, który bądź zakazał podwyżki komornego, pobieranego w czerwcu 1914, bądź pozwolił komorne to podwyższać w skromnych granicach, ale bez waloryzacji t. zn. w stałej relacji w art. 5 oznaczonej w ten sposób, że 100 rubli równało się 216 markom względnie 250 koronom.

Prof. Kemmerer, który badał stosunki gospodarcze w Polsce zwraca w swoim sprawozdaniu uwagę, że do roku 1924 nie było żadnego rozporządzenia któreby modyfikowało tę normę w miarę zmniejszającej się wartości pieniądza w czasie kolejnych okresów inflacji.

Następstwem tego był fakt, że właściciel dużej kamienicy trzypiętrowej mającej 8 mieszkań 3 pokojowych otrzymywał miesięcznie tytułem komornego w roku 1923 sumę, za którą nie mógł sobie kupić nawet pudełka papierosów. Łączne komorne 11 400 domów w Warszawie nie wynosiło rocznie nawet 600 dolarów.

Ustawa ograniczająca prawa własności posiadaczy nieruchomości była tem bardziej krzywdząca, że nabytek wojenny „ceny maksymalne” na inne artykuły zostały zniesione. Ceny chleba, mięsa, ubrań czy innych artykułów rosły jak na drożdżach, tylko cena za mieszkanie była sztywna.

„Drugim charakterystycznym rysem polityki rządowej - stwierdza prof. Kemmerer - która dokonała ruiny, była odmowa podtrzymania właścicieli realności w ich usiłowańach pobrania tych małych czynszów, jakie im wolno było nakładać. Wypowiedzenie mieszkania po okresie, na jaki opiewał kontrakt mieszkaniowy, zostało zakazane. Bezrobotnym udzielono moratorium w płaceniu komornego na 6 miesięcy do 1 roku, mimo że pociągało to za sobą nieuniknione i bezpłatne zajmowanie przez nich mieszkań bo przecie całkowite roczne komorne niemożliwe jest do zapłacenia dla tego, który nie mógł go zapłacić w miesięcznych czy tygodniowych ratach. Niewielkiej pomocy można było też oczekiwać z procesów za zaległe komorne, ponieważ procesy te dawały śmieszne poprostu wyniki. W kwietniu 1924 pewien właściciel realności miał przyznana sumę 10.000 marek polskich czyli zł. 0005 jako komorne za umeblowane mieszkanie składające się z trzech pokoi, przedpokoju, kuchni z gazem i elektrycznością za przeciąg 19 miesięcy... Sąd w pewnym prowincjonalnym mieście zajmując 5-pokojowe mieszkanie przez dwa i pół roku, napisał właścicielowi dnia 19 lipca 1924, że czynsz za ten okres wynoszący 8460 marek polskich nie może być zapłacony, ponieważ równa się mniej niż zł. 0001”.

Cóż więc dziwnego, że zamarł u nas zupełnie ruch budowlany, załamały się gałęzie przemysłu tej dziedziny.

Z drugiej strony byliśmy świadkami, jak paskarskie hjeny żerowały na tym głodzie mieszkań. „Poręczawiczne” za wiadomość o wolnym mieszkaniu, sute odstępnę, to rzeczy codzienne w handlu mieszkaniami rozwiniętym na szeroką skalę w okresach dobrej konjunktury, a trwającym do dnia dzisiejszego, tylko w nieco mniejszym stopniu z powodu braku gotówki u reflektantów.

Odstępnę za mieszkanie 4-pokojowe w Warszawie wynosiło w latach 1924-5 od 1—3 tysięcy dolarów, zależnie od uli-

cy. Dziś płaci się odstępnę w wysokości od 6—10 tysięcy zł. Tam gdzie „zdobywa się” mieszkanie wprost od właściciela bez odstępnego, musi się płacić czynsz za dwa, trzy a nawet pięć lat z góry.

Na głodzie mieszkaniowym zarabiali więc pośrednicy i ogromnie uprzywilejowani lokatorzy. Do roku 1924 lokator mieszkał prawie za darmo, po wydaniu nowej ustawy o ochronie lokatorów dziś obowiązującej płacił początkowo bardzo mało.

Natomiast lokator zdzierał bez litości skórę z sublokatora. Wiemy dobrze że jeszcze przed trzema laty obszerne mieszkanie było złotodajną żyłą. 2,3 sublokatorów nie tylko opłacało lokatorowi mieszkanie, ale byli dla niego niejednokrotnie jedynym źródłem utrzymania.

Tymczasem ci, którzy włożyli pieniądze na budowę domu, nie tylko nie otrzymywali należnych im procentów od kapitału, ale musieli patrzeć jak powoli ich domy niszczały, a pieniądze na remont również nie mieli.

W tym stanie rzeczy kapitał prywatny uciekał od budownictwa mieszkaniowego i powoli rósł olbrzymi głód mieszkaniowy.

Przed majem 1926 premierzy zmieniających się często rządów składali w swych expose hojne obietnice w sprawie ożywienia ruchu budowlanego. Ale zdaje się, że już w tydzień po „premierze” w sejmie nikt z członków rządu nie łamał sobie głowy nad tym problemem.

Po maju 1926 buduje Państwo i budują samorządy, pozbawione dość lichę reputacji spółdzielnie mieszkaniowe. Budownictwo mieszkaniowe pozostaje przeważnie na etacie Banku Gospodarstwa Krajowego.

Szerszej i planowej akcji w kierunku ożywienia ruchu budowlanego dotychczas nie podjęto, mimo że w zimie i na



Prof. B. Bartel

„Portret p. J. W.”

wiosnę w organach oficjalnych i półoficjalnych ukazują się jaskółcze wieści o planach ożywienia ruchu budowlanego.

Prof. dr. Taylor w przedmowie do pracy Jerzego Schimmla p. t. „Głód mieszkaniowy“ pisze: „Produkcja mieszkań, jak wszelkich innych dóbr, zależy od ich ceny tj. od komornego. Sztuczne obniżenie komornego musi zaostreżać brak mieszkań i w ten sposób wywoływać skutki wręcz przeciwnie zamierzonym. Tylko i jedynie cena mieszkań odpowiadająca stosunkowi podaży od popytu t. j. wolno konkurencyjna może wywołać dostateczną ich podaż w stosunku do zapotrzebowania“.

Z państw europejskich tylko Polska, Łotwa i Austria trwają przy ustawowej ochronie lokatorów, w innych państwach ustawa ta albo już została zniesiona, albo też ulega stopniowej likwidacji.

Tam gdzie ustawę o ochronie lokatorów zniesiono, natychmiast dawały się odczuć dobroczynne skutki wolnokonkurencyjnej ceny mieszkań.

N. p. w Holandji w r. 1927, kiedy nastąpił powrót do prawa ogólnego 83,87% domów zostało wzniesionych przez inicjatywę prywatną.

Demagogiczni przeciwnicy zniesienia ustawy o ochronie lokatorów twierdzą, że fakt zniesienia tej ustawy spowodowałby kolosalne wyśrubowanie komornego, setki eksmisji i t. p.

Oczywiście, że w tym wypadku mijają się z prawdą. Po zniesieniu ustawy cena mieszkań będzie zależna od podaży i popytu. Z pewnością że nie będzie wówczas można mieszkać w 5 pokojach za 110 zł. miesięcznie, ale również nie potrzeba się obawiać, że właściciele kamienic wyśrubują ceny przekraczające możność płatniczą szerokiego ogółu, wówczas działaliby bowiem na swoją szkodę.

Anomalje obecnego stanu mieszkaniowego muszą być usunięte. Stan ten powoduje bowiem niesłychane szkody. Ciężsota mieszkaniowa sprzyja nie tylko szerzeniu się chorób demoralizacji, ale jest również najlepszą propagandą komunizmu. Podczas ostatnich wyborów do rady m. st. Warszawy co czwarty głos oddany przez wyborców, był głosem komunisty. Głosy komunistyczne unieważniło wprowadzenie, ale komunizm został.

Przytuliska miejskie przepełnione bezdomnymi, baraki, „blaszanki“, nawet miejsca pod mostami są już zajęte. Gdzie schronić się dalsze rzesze?

W Polsce przybytek ludności jest coraz większy (ca 400 tys. rocznie) a przecież tych kilka pałaców budowlanych rocznie, przeznaczonych na pomieszczenie izb skarbowych, banków, zakładów ubezpieczeń i t.p. nie zaspokoi rosnącego głodu mieszkaniowego.

Czas więc przystąpić do akcji poważniejszej i bardziej intensywnej. Nie czekajmy aż brak będzie 2 milionów izb mieszkalnych.



Prof. B. Bartel „Gloria 1920 r.“

Prorządowy separatyzm

Separatyzm dzielnicowy jest niewątpliwie siłą społeczną w znaczeniu socjologicznym. Siłą społeczną, zmierzającą do wyodrębnienia losów pewnego regionu od wpływów całości państwa. Dążność taka jest siłą społeczną *destrukcyjną*.

Separatyzm dzielnicowy w Wielkopolsce, rozszerzony i na Pomorze, jako pojęcie, traktowane zupełnie płytko, jako środek walki politycznej, spełniał rolę niskiego schlebiania małym instynktom, co najwyżej półinteligencji.

Separatyzm, czy autochtoniczna eksluzywność, która w okresie pierwszych lat odbudowywania niepodległości, tak smutne w Wielkopolsce zostawiła rezultaty, nieomal wielka wada narodowa, rozdmuchiwana przez Stronn. Narodowe, cena kupna „rządu dusz w Wielkopolsce“ winna być tępiąca w sposób najbardziej zdecydowany.

Wszak pamiętamy jeszcze dokładnie, że dla samego hasła Wielkopolska dla Wielkopolan poświęcano stan posiadania ziemi zostawiając go w rękach niemieckich, byle nie dać przewłaszczeń Polakom z innych zaborów, w obawie, że obniży się poziom kultury rolnej.

Przecie istniał i zdaje się istnieje jeszcze „Związek poszkodowanych przez Prezesa Okręgowego Urzędu Ziemskiego“,

związek Polaków — przeważnie z pod zaborców niepruskich, którym nie udzielono przewłaszczeń za nabyte gospodarstwa rolne.

Separatyzm...

Był więc argumentem tanim, argumentem demagogii. Krzywą jego przejawów można było mierzyć zawiedzionymi ambicjami lokalnych menérów Stronnictwa Wiecznej Opatryjki.

Wygrywano separatyzm gwoili spopularyzowania programów partji, w imię „hurranarodowości“ „ultrapatrjotyzmu“, „obrony zagrożonych placówek zachodniej kultury“. Wygrywano go wbrew oczywistym interesom państwa.

Jednak zagadnienie separatyzmu urosło do roli poważniejszej, kiedy postawione przypadkiem, czy obudzone przypadkiem, zapanowało nad umysłami uczestników zjazdu prezesów rad powiatowych BBWR. w Poznaniu.

Postawiono jako zagadnienie t. zw. czynnej nadwyżki świadczeń ziemi Wielkopolskiej do budżetu państwowego, przez śliskie i niebezpieczne nastawienie dyskusji stało się nieomal widmem hecy separatystycznej. Skwapliwie wtłoczono do kurnika pojęć doktrynę Monroe i proklamowano przez

tych i owych mówców hasła ni mniej ni więcej tylko Wielkopolska dla Wielkopolan. Potem poszły żądania, starannie poprawkowane, uzupełniane i zmiękczone przez leaderów pewnych grup.

Problem separatyzmu dzielnicowego, o zgrozo prorządowego, separatyzm współpracy z rządem, nie może nas ludzi obozu Marszałka napawać radością.

Długo nie poruszaliśmy tego zagadnienia, wszak od zebrania o którym mówimy, upłynęło dwa miesiące. Liczyliśmy, że sprawa sama dojrzeje, że czynniki do tego powołane własną ekspiacją zechcą oczyścić atmosferę.

Dla tego dziś wysoko sobie cenimy możliwość postawienia tego zagadnienia na forum.

Co było przyczyną tego smutnego rezultatu zjazdu prezesów rad powiatowych BBWR.?

Utrzymywanie stosunków między grupami Bloku na terenie Wielkopolski w stanie równowagi statycznej, z której każde ogniwo polityczne może ją wytrącić, przez takie czy inne stanowisko niezgodne z resztą ugrupowań, nie daje żadnych rezultatów poza wiecznie trwającym obserwowaniem i absorbowaniem uwagi nad kontrolą istniejącego stanu rzeczy. W tych warunkach nie może być mowy o budowaniu organizacji, lecz tylko o urzędowaniu przy pomocy takiej czy innej aparatury. Nie wychowuje się ludzi, nie prowadzi się pracy społecznej, a praca cała sprowadzona do gorączkowych wysiłków od wyborów do wyborów.

Wadliwe z gruntu nastawianie ludzi w terenie w czasie przygotowywania do wyborów powiatowych, poszukiwanie prezesów i kandydatów na prezesów w sposób, który najbardziej uczciwych i szanowanych ludzi prowokował do takiego skryzalizowania doktryny Monroe.

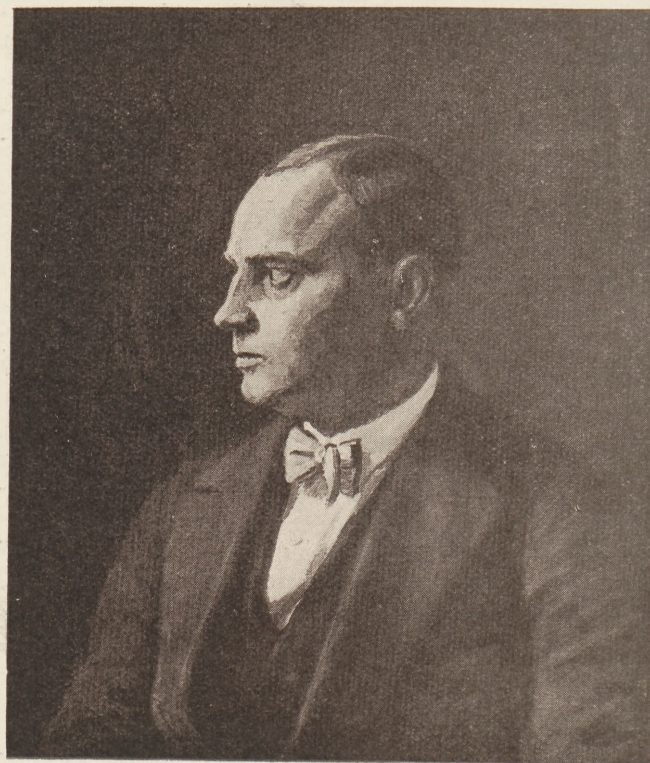
Poszukiwano wielkopolan rodowitych na prezesów rad pow. Piękna idea. Cudowna. Ale ludzi jeżeli się szukać nie umie, należało ich sobie wychować. Trzeba na to pracy

nie od wypadku do wyborów, lecz pracy stałej wytrwałej a do tego trzeba przede wszystkim umiejętności i warunków.

A przede wszystkim kwalifikacji, jeżeli się jest odpowiedzialnym za pracę nad obozem prorządowym.

Wnioski stąd nasuwają się łatwo i przejrzysto: zmienić co prędzej system pracy i środki pracy, jeśli idee Marszałka mają być realizowane.

St. Zawadzki.



Prof. B. Bartel

„Portret p. G.“

Precz z karą śmierci

W warszawskim sądzie okręgowym jest jeden sędzia, który mimo 20-letniej praktyki — nie podpisał ani jednego wyroku śmierci.

Jest zasadniczym przeciwnikiem kary śmierci. Uważa, że żaden człowiek nie ma prawa odbierać drugiemu życia, choćby to działo się pod powagą wymiaru sprawiedliwości.

Smutki i uciechy w politycznym garnku

Wygłaszając kilka krytycznych uwag na marginesie ostatniego „Apelu“ rezerwistów „Goniec Wielkopolski“, który na naszym gruncie jest jedynym pismem codziennym niezależnym, — rzucił kilka cierpkich słów z powodu wystąpienia z mównicą posła BBWR. dr. Surzyńskiego.

W kilka dni później „Goniec“ dodał takie „rehabilitujące“ wyjaśnienie:

„W związku z krytyką organizacji zeszlondzielonego apelu rezerwistów, na którym niepotrzebnie przemawiało aż dwóch posłów B. B. W. R., proszeni jesteśmy o zaznaczenie, iż poseł dr. Surzyński przemawiał jedynie na usilne, graniczące wprost z natręctwem prośby organizatorów apelu, którzy lękali się, że zabraknie im mówców“.

Przeglądający się tej zabawie „Kurjer Poznański“ komentuje tę notatkę na swój sposób:

Trzeba przyznać, że dobry to kawał polityczny, uwaga bowiem o „graniczących wprost z natręctwem prośbach“ dotyczy oczywiście w rzeczywistości nie organizatorów apelu, lecz mówcy.

Epidemia samobójstw

Liczba samobójstw wzrasta ostatnio w sposób zastraszający. Nie pomoże umiejętność wciskania w pismach codziennych wiadomości tych *petitem* na ostatniej stronie, lub pomiędzy drobne kradzieże.

„Nowe Słowo“ pisze i doradza: „Zaprzestanie walki życiowej - samobójstw — jest to rzucenie wszystkich trosk i kłopotów na barki pozostałej rodziny, jest to nielitościwy krok wobec najbliższych tak kochanych przez całe życie istot.“

— Samobójstwo — to nerwy słabe, a nie ratowanie swe go honoru.

— Głowę do góry. Dalej do walki. Przetrwajmy.

— Kończyć samobójstwem doprawdy nie warto.“

Do tych frapujących haseł „Robotnik“ dodaje: „Uwaga niewątpliwie słuszna, ale wątpimy czy rada ta odniesie jakikolwiek skutek. Ci, którzy noszą się z zamiarami samobójczymi, którzy już nie znajdują żadnego innego wyjścia, poza wyjściem z życia, tym już nerwy nie pozwalają czytać wywodów „Nowego Słowa“, tembardziej nie przeczytają ich ci, co już wszelkie rachunki z życiem w dobie „radości życia“ krótko i stanowczo pokończyli“.

Z GALERJI RACZYŃSKICH W POZNANIU.



Herman Ten Kate

„Polowanie na zająca“.

Z TYGODNIA

POKRZEPIAMY SIĘ NADZIEJĄ I CUKREM

Pałam nieugaszonym płomieniem miłości ku naszym cukrownikom za ich wulkaniczny optymizm tak zwieźle... lajkowniczo wyrażony w słynnym na całą Polskę aforyzmie: „Cukier krzepi. — Cukier krzepi, to już nie termin jeno gospodarczy, ale polityczny; formuła jakby normy moralnej; — to już synonim nadziei. Więc hasłem dnia jest: pokrzepimy się nadzieją i... cukrem. W samą porę przyszła ta odtrutka, to serum optymizmu przeciwko cholerze powszechnego defetyzmu i pesymizmu. Ileż to tem, napozór skromnym i niewiedziutym reklamowem, siły sugestji, świeżości sztandarowego hasła.

A weźmy takie wyblakłe, wytarte liczmany jak: „Śmiech to zdrowie“, „Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą“, „W zdrowym ciele zdrowy... brzuch“, „P. K. O. — zaufanie społeczeństwa“ — „Radjon sam pierze“ i t. d. Ani w tem głębi wyrazu ani mocy przekonania, ani też żdźbła prawdy. P. K. O. — zaufanie społeczeństwa; ja mam do P. K. O. zaufanie, ale ono do mnie ani odrobiny; zawsze podejrzliwie sprawdza, czym wystawiając czek, nie przechołował w cyfrze. — Więc jak to z tem zaufaniem? Dlaczego ono jest typu jednostronnego?

Choć z drugiej strony niema reguły zaufania bez czeka-wego wyjątku. Takim wyjątkiem był jeden jedyny Bogdanow; do niego P. K. O. miało zaufanie na milion zł. Ale do mnie, do Ciebie, do niego, do nas, do was zwykłych śmiertelników i poświatników? Ani krztyny. Inna rzecz „cukier krzepi!“. Ho, — ho — tu już niema nawet wyjątków. Prawda z początku krzepił tylko dyrektorów, ale teraz (czytajcie amonse w prasie) „cukier krzepi już nawet ludzi. Stąd odrazu człek nabiera zaufania do dobrodziejów z Banku Cukrownictwa. „Cukier krzepi ludzi!“ — zatem nie dyrektorów. — Jasno, prosto i dwuznacznie, gdy hasło P. K. O. jest tylko jednoznaczne. P. K. O. krzepiło Bogdanowa, a Bank Cukr.

krzepi ludzi. Widzicie różnicę? Świetna ta cukrowa instytucja, zaiste wszystką Polskę Bank Cukrownictwa krzepi tem przewiedzeniem, z wyłączeniem oczywiście „Nowego Kurjera“ i... Chylewskiego. Mnie bo Bank Cukrownictwa pokrzepił moralnie. Dawniej to tak: gdy ktoś mi „głupio przyszedł“ ze zwykłym nudnym zapytaniem, mającym nawiazać „interesującą“ rozmowę towarzyską: — Co słychać u pana? — byłem w kłopotach, odpowiadałem więc różnie zależnie od nastroju. Odpowiem gościowi: — „dziękuję coraz gorzej“ — będę miał defetyzm, — czyn antypaństwowy a jeśli takiemu przyjemniaczce powiem „dziękuję coraz lepiej“ to nanażam się na prośbę pożyczki do jutra 100 zł pod zastaw słowa honoru. Dziś na pytanie „Co słychać“ — mówię: „dziękuję, cukier krzepi“. Albo z dziadami, odsyłałszy ich do Pana Boga, perfidnie wystawiając czek na niebieskie P.K.O., wiedząc dobrze, że jest bez pokrycia (niepoównanym mistrzem takiego odsyłań do Pana Boga był p. Łuczak). Obecnie nie mówię dziadowi „niech Pan Bóg opatrzy, albo „Daleś mi Panie w swej szczerobliwość dajże“ itd., tylko poprostu: „Dobry człowieku, niech cię cukier pokrzepi!

Formuła „cukier krzepi“ ma już naśladowców. Czytamy „cukier krzepi... wódka lepiej“. Mówią że i Dobski wywiesi przy wejściu do swej cukrowni atrakcyjny afisz: „cukier...nia krzepi. Nawet cukrzyca, zdawałoby się taka podła choroba, a czyż nie krzepi... lekarzy? Dumni więc możemy być z naszego Banku Cukrownictwa, część Mu. Życzę dyrektorom, aby ich również cukier krzepił, nie tylko wyłącznie ludzi.

Zaprawdę powiadam Wam potrzeba nam ośbady w naszym gorzkim życiu, trza nam pokrzepienia, boć lament wszędzie okrutny i srogie na los, garbaty narzekanie. Program gospodarczy nie realizuje się: miasto wysiłku pracy, mamy wysiłki konne zamiast radosnej twórczości — hasło

cukier krzepi; miasto wolnego handlu — przymusowe przetargi. Na jedne pomniki w Poznaniu urodzaj. Niebawem nasz gród będzie wyglądał jak cmentarz. Buduje się pomnik Serca Jezusowego ku pokrzepieniu serc. Aleć wiadomo, że p. Rożek już dokumentnie, nim zdążyliśmy pokrzepić nasze serca, pokrzepił się na kieszeni. Dziwny ten naród polski, do czego się dotkniemy wszystko nas krzepi, a taka w kraju nędza.

Ludzie wracają już z urlopów pokrzepieni. Opowiadała mi jedna z kuracjuszek, przebywająca w pewnym Domu Zdrowia Zakładu Pracowników Umysłowych, że ordynuje tam lekarz, którego metoda leczenia niechybnie wywołała przewrót w medycynie; ów syn Eskulapa na nerwicę serca zalecał co następuje: codziennie odmówić Zdrowiaś Marja i mieć czyste sumienie. Autentyczne! — i antyżne, jakoby żywcem przeniesione z średniego średniowiecza. Za moją namową panienka ta owemu lekarzowi posłała podziękowanie za troskliwą opiekę lekarską wraz z zaleceniem, że gdy zaobserwuje (co nie daj Boże!) na cukrzycę niech odmówi ludzkiej do wszystkich świętych, nosi czystą bieliznę i krzepi się cukrem.

W poznańskim świecie politycznym, gospodarczym i literackim nie powiem, żeby miało się ku pokrzepieniu, ale i ku pogorszeniu też zdaje się nic nie zmierza. A propos, wiecie sympatyczni Czytelnicy, że prof. Peretiakowicz przeszedł do obozu Dziadka i że w związku z tem, aby silniej uwypuklić swój prorządowy charakter, wniósł o zmianę nazwiska Peretiakowicz na Pere...dziadkowicz, że Związek Obrony Kre-

sów Zachodnich tak blisko stoi Gazety Zachodniej, iż program działalności tej instytucji w roku przyszłym będzie się wyrażał w następującej formule: Związek Obrony kresu Gazety Zachodniej, że radca Machowski z uwagi na swą wielką rolę w sanacji będzie w przyszłości dla poznańskiego Bebe radca Machometowski, że Nyka i Posłuszny w łączności z zastrzyżonym kursem antyrządowym przemianują swą firmę na: „Nyka i Opozycyjny”? Do jakiego wtedy lokalu przeniosą się Zegadłowicz i Skiwski? Czy Skiwski będzie dalej tego lokalu gościem a Zegadłowicz nie? Oto pytanie. A gdy się dwaj przyjaciele rozstaną, jakie na pożegnanie Zegadłowicz napisze ballady? Mówią, że Powsinog: Bez... skiwskie... Ale czy to prawda?

Pod względem ogólnej sytuacji każdy żywi nadzieję, że będzie lepiej i w związku z tem rząd się całą sytuacją gospodarczą nie przejmując, bowiem zupełnie logicznie i słusznie rozumuje: jeśli w Polsce każdy zdolny jest zarobić tyle że wyżywi siebie i do tego żywi nadzieję, to tak źle w Polsce nie jest. Racja! Więc minister skarbu mówi: Cukier krzepi, „Jadajcie kaszę“ — „Gotujcie na gaźie“, pranie bielizny oddawajcie Radjonowi a on już to sam załatwi, „Pijcie wodę Franciszka Józefa lub magistracką, a kupcom i przemysłowcom, gdy się uskarżają na zastój — radzi „Reformackie pigułki z zakonnikami.....

Leon Sobociński.

150 000 mieszkań wolnych ale w Berlinie

W roku 1924, po dziesięcioletnim zastoju w ruchu budowlanym, wywołanym wojną i inflacją, liczba mieszkań w Niemczech wynosiła 14,5 milionów, wobec 15,4 milionów gospodarstw domowych. Niedobór wynosił zatem 900 tys. mieszkań i szacunkowo wzrastać miał do 250 tys. mieszkań rocznie, w następstwie zakładania nowych ognisk domowych.

W tym stanie rzeczy konieczność szybkiej i na wielką skalę podjętej akcji budowlanej, wysunęła się na czoło zadań gospodarczych kraju. Sfinalizowanie ruchu budowlanego, napotkało początkowo na nieprzewidywalne przeszkody, usunięte dopiero stworzeniem niskoprocentowanych hipotek z funduszy podatku mieszkaniowego, na cel ten pobieranego w wysokości 10% czynszów mieszkalnych.

W latach 1924—1930 zużyto w Niemczech na budowę domów mieszkalnych 16 miliardów marek, a więc przeciętnie 2,3 miliardów rocznie. Decydujący wpływ na inwestycje te, jak widzimy monstrualnych rozmiarów, wywarła mobilizacja na cel ten środków publicznych, które w wspomnianym okresie dosięgły 8,6 miliardów.

Początkowo budowano więcej mieszkań średnich (4—6 pokoi), aniżeli małych (1—3 pokoje). Pod wpływem pogorszenia się sytuacji gospodarczej, następuje przesunięcie się punktu ciężkości na budowę mieszkań małych, jednak w niewystarczającym, jak zobaczymy, stopniu. Łącznie w ubiegłych 7 latach, kosztem wspomnianych 16 miliardów, wzniesionych zostaje w Niemczech 1,7 milionów mieszkań. Z końcem roku 1930, liczba mieszkań w Niemczech dosięga cyfry 16,2 milionów, wobec 16,9 milionów gospodarstw domo-

wych.

Jak wynika stąd, pokryte zostało w całości zapotrzebowanie mieszkań nowotworzących się ognisk domowych i nadto niedobór istniejący zredukowany został o 200 tysięcy mieszkań.

Kryzys mieszkaniowy w Niemczech trwa więc nadal i wyraża się w tej chwili niedoborem 700 tys. mieszkań. W ciągu ostatnich kilku miesięcy, kryzys ten przybrał nawet formy wyjątkowo ostre, a to w następstwie ogólnego kryzysu gospodarczego. W samym Berlinie stoi wolnych 150 tys. najwykwintniejszych, wielopokojowych mieszkań opuszczonych przez lokatorów, którzy zubożawszy nie byli w stanie płacić komornego. Powyższej ucieczce z mieszkań wielkich i drogich, towarzyszy równolegle gwałtowny zanik zdolności płatniczej lokatorów zajmujących mieszkania najniższe.

W następstwie bezrobocia i redukcji płac 30% mieszkańców koszar robotniczych zalega z czynszami. Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa w nowych domach czynszowych, których komorne wyśrubowywano przy zawieraniu kontraktów najmu bardzo dowolnie.

Załamaniem się wpływów czynszowych nie pozostało bez wpływu na kształtowanie się cen nieruchomości. W Berlinie na przykład, ceny domów spadły ostatnio o 25—50%. Nadmiar mieszkań nieodpowiadających dzisiejszej stopie życiowej społeczeństwa i bankructwa kamieniczników — oto nieoczekiwane skutki intensywniej, siedmioletniej akcji budowlanej w Niemczech, która mechanicznie powiększając liczbę mieszkań, nie rozwiązała problemu czynszu dostosowanego do zdolności płatniczej współczesnego najemcy.

Marjan Mayer.

Wrażenia ze Zjazdu Legionistów

Rzecz jasna, że Zjazdy Legionistów dzielą się na takie, na których jest obecny Marsz. Piłsudski, i takie, na których go nie ma. Manifestacja miłości i zaufania do Komendanta, do twórcy Legionów, do tego Polaka jedynego, który na długo przed wielką wojną nie tylko myślał na serio o polskiej sile zbrojnej, ale i na serio ją tworzył, jest oczywiście szczytowym punktem tych zjazdów, najgorętszą ich chwilą i największą radością. Jest w tej manifestacji jeszcze jeden moment ważny: uczucie głębokiej wdzięczności dla Józefa Piłsudskiego za to, że dał szczęście walczenia o sprawę polską, to wielkie eszcześnie, do którego daremnie tęsknili najlepsi ludzie z szeregu pokoleń po ostatnim powstaniu i o którym każdy z nas marzył od lat chłopięcych. Ta wdzięczność przejdzie w najdalsze pokolenia polskie i stanowić będzie wieczystą nagrodę Czynu.

Tym razem, na zjeździe tarnowskim, Marszałka nie było, — nadesłał tylko pismo odręczne do „kolegów — legionistów“.

Mieliśmy sposobność pochwycenia na gorącym uczynku rozplotkowanej „opinji“ polskiej, wychowanej — wyraźnie — na „węższej“ ciągle „tajemnicy stanu“ prasie opozycji (vide „Kurjer Poznański“, „ABC“ etc.). Marszałek tłumaczył w swym piśmie, że „nie będąc w stanie przemawiać na zjeździe“, zdecydował się nie przyjechać. Nieścisle, jak zwykle, gazety podały ten ustęp listu we formie: „nie mogąc przemawiać“, i domorośli „politycy“ szeptali wokoło, że w tem coś jest, i łamali sobie głowy nad tem, dlaczego Marszałek „nie może“ przemawiać... Pomijając już zupełnie jedną stylizację, świadczącą, że Marszałek nie czuł się poprostu dysponowanym na tyle, by podjąć wysiłek publicznego przemówienia, podziwiać trzeba spaczenie mentalności pewnych kół naszego społeczeństwa i tę nieskończoną wprost naiwność „polityków“, uważających swoje „domysły“ za głębokie koncepcje!

Legioniści pamiętają dobrze ostatnie choćby przemówienie Marszałka na zjeździe wileńskim, tak pełne mocy i głębi, brzmiące wzruszającymi tonami, jak gdyby pożegnania z epoką, — wiedzą, że zwykł On przemawiać całą siłą nerwów, — i rozumieją dobrze, że Mąż stanu, tyle odpowiedzialności dźwigający ciągle na sobie, musi czasami zdrowie swoje i siły oszczędzać. I dla nich najważniejsze było to, że Marszałek właśnie w tym czasie odbył szereg męczących podróży z obowiązkami (do Druskiennik, do Brześcia, do Wilna) i że zdrowie pozwala Mu na taką ruchliwość i pracowitość dla dobra kraju. Pamiętali też, że na ostatnim zjeździe (radomskim) odbierał sam defiladę na ulewnym deszczu — przez dwie godziny blisko.

Serdecznie odczuli i zrozumieli Legioniści gest i intencję Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, który przez swą obecność postanowił im wynagrodzić nieobecność Komendanta i podnieść znaczenie zjazdu. Po raz pierwszy g'owa Państwa wzięła udział — i to oficjalny — w dorocznym święcie Legionów. Szczególnie wdzięczne było Panu Prezydentowi społeczeństwo tarnowskie, które uroczysto gotowało się na przyjęcie zjazdu i w gorących odezwach, rozlepionych na murach miasta (od Komitetu, od Magistratu i osobno od Gminy żydowskiej) zjazd ten witało. Dekoracja miasta była bardzo staranna a porządek w mieście w czasie całego zjazdu nienaganny. Odżyły w Tarnowie wspomnienia wszystkich podniosłych momentów historycznych, któremu miasto i okolica (Łowczówek, Pilzno) związane były z dziejami i walkami Legionów, a które, w szeregu artykułów, przypominał i podniósł specjalny numer organu Związku Legionistów. I jeszcze ponadto — czyż nie dało

się to odczuć? — Tarnów czuł, że pobliskie Mościce, które dla rozwoju tego miasta duże mają znaczenie, to jakby dalszy ciąg czynu Legionowego, — tak, właśnie tej idei świętej, która tworzy, wciela, realizuje Polskę żywą, dumną, samodzielną!

Dwa były najpiękniejsze momenty zjazdu. Jeden — to moment, gdy w pochodzie przed Panem Prezydentem Rzeczypospolitej przyszła kolej na defiladę Legionów...

Kroczyły naprzód oddziały wojsk załogi tarnowskiej: kawalerja, piechota. potem: kompanja „strzelców“. Orkie stra, która towarzyszyła tej części defilady, umilkła. Słychać śpiew. Gromki, jakby, przemożny. Jest w nim rozpęd ataku i wesołość beztroskiej brawury. Czy to marsz oddziałów w polu, na wojnie? Coś tak bliskiego a coś z przeszłości. Chwila niesamowitego wprost wrażenia, jakby wizji dziejowej. Zbliżają się, grzmiać kroki silne, męskie, wesołe a prawie groźne w niepowstrzymanym swoim marszu, — tak młode, tak młode... Prze kolumna czwórkowa defilada Legionistów. Oficerowie i podoficerowie. Cała prawie kompanja. Mundur dzisiejszej naszej armji, gdzieniegdzie kurtki legionowe niebiesko-szare, gdzieniegdzie beliniackie, kilka bluz cywilnych. Defilują legioniści służby czynnej i — ale nie, wszyscy służby wiecznie czynnej! Służba jest ich parolem, są wiecznie młodzi. Prawie się wierzyć nie chce: Na przedzie kilku ministrów; maszerują: Sławek, Pietrzyński i posłowie sejmu; prowadzi kompanję wyniosły generał Orlicz - Dreszer; to chyba się wydaje, że siwieją mu skronie; dwie czwórki pierwsze: generałowie polscy, — Składkowski, Galica, Krzemiński, Norwid. Popowicz i inni, dalej: pułkownicy, majorzy, kapitanowie i porucznicy, — za nimi sierżanci wszystkich pułków i broni. Żołnierze z nad Nidy, z pod Łowczówka, z Karpat, z Polesia. Idą, z piosenką legionową na ustach. Bije od tego pochodu prawdziwa siła i duma. I więcej: szczęście. Komuż bowiem, tak, jak im, powiodło się, że się stali podstawą Armji wolnego Państwa polskiego? że weszli w skład tej wielkiej Armji?

Nasuwały się wspomnienia i porównania: Legjony Dąbrowskiego... Ale oni tej pełni szczęścia nie mieli, Legionów tamtych uczestnicy. Armja, której podwaliną się stali, była małym wojskiem napół wolnego, małego Księstwa Warszawskiego, a potem: armji Karła w domu olbrzyma, — Królestwa Kongresowego. A tu, przed naszymi oczyma, — realizacja całkowita, ucieleśnione marzenia pokoleń, wszystkich szlacheckich Polaków. Tu maszeruje — prawdziwe szczęście. Polacy, wy, którzy przez wiek z górą byliście bezsilni, lekceważeni, poniewierani nawet, — jakże powinniście kochać tę żywą siłę, to zbrojne ramię swoje!

Defilujące oddziały składają hołd pomnikowi Żołnierza Nieznanego, skromnemu i pięknemu dziełu, które Tarnowianie ustawili pobok starej swojej szkoły: gmachu gimnazjum, w którym uczyli się jeszcze Brodzińscy, obaj — legioniści gen. Dąbrowskiego. Przywieziono tu ziemię z mogił pierwszych legionistów Piłsudskiego, straconych w okolicy Tarnowa.

Drugi moment: Uroczystość na polach Łowczówka. Miejsce sławne wielką bitwą I. brygady, rozpoczętą napadem wojsk rosyjskich w samą wileńską Bożego Narodzenia, w r. 1914. Tutaj po raz pierwszy odznaczył się świetnie dzisiejszy generał polski, ówczesny szef sztabu brygady — Kaz. Sosnkowski (nie przybył na Zjazd z powodu poważnej choroby syna). Wspinamy się lasami, w których toczyły się walki, na górę, kilkaset metrów wysoką; wszakże to już Podhale.

Na samym szczycie — cmentarz z kaplicą. W równych rzędach żelazne krzyże, na kamiennych podmurowaniach. Przyszliśmy odwiedzić spoczywających tu legionistów — w dzień ich dorocznego święta... Jakże tu pięknie i cicho.

Zaroilo się wzgórze. Przemówił najprzód ksiądz młody, proboszcz miejscowy. Wśród słuchaczy miał generałów, ministrów — i widać było, że ten prosty, dobry, ksiądz — czuje się szczęśliwy z tego powodu: mówił długo, z całego serca, jakby się chciał wygadać przed dużym i inteligentnym audytorem z tego wszystkiego, czego nie miał dotąd sposobności powiedzieć, swojej skromnej owczarni. Było to prawdziwie wzruszające zdarzenie, że mówił właśnie skromny proboszcz miejscowy. Padaly słowa patriotyzmu prostego, jasnego, czystego...

Mówili po nim dwaj legioniści: min. Boerner i gen. Galica. Galica był tu, pod Łowczówkiem, dowódcą kompanji... Mówił o walce, podkreślił, że przemawia jako syn tego Podhala. W przemówieniu min. Boernera zabrzmiały akcenty tryumfu. „Radujcie się z nami i spoczywajcie w pokoju, bo wasza walka, polegli legioniści, odniosła tryumf zupełny — Polska żyje.“ Poczem wskazał na widniejące w dali kominy zakładów mościćkich: Oto symbol pracy żyjącej Polski i dowód, że umie pamiętać o potrzebie obrony wywalczonej wolności.

Te odwiedziny, złożone poległym legionistom, na tem wzgórzu, tryumfalnie wzniesionem, były bardzo pięknym momentem Zjazdu tarnowskiego, o sensie głębokim.

+ + +

Jeszcze słowo o — „raucie“. Było to zakończenie całego Zjazdu. W rozległych salach „Kasyna miejskiego“ — było ciasno, rojno, gwarno, i — kogo tam nie było! No, prawdziwy „bałagan“ legionowy, z dawnych, dobrych, „obywatelskich“ czasów. Generałowie, pułkownicy i sierżanci! Owi — tak ważni, tak morowi, tak dzielni — sierżanci legionowi! Rdzeń Legionistów, dawni — kaprale Szczapy. Jeden z nich wylazł na galerję i ogromną gębą zaczął — deklamować; przekrzyczał orkiestrę, gwar, całą salę. Deklamował świetnie. Ktoś wpakował się z trąbą na salę. Potem weszła „muzyka“ góralska i na środku sali zagrała na gęśliczkach. Była i orkiestra wojskowa. Mundury, sukmany, bluzy, cuchy, sutanny. Tańczono we wszystkich salach. W każdej też był buffet. Zabawa była, co się zowie.

+ + +

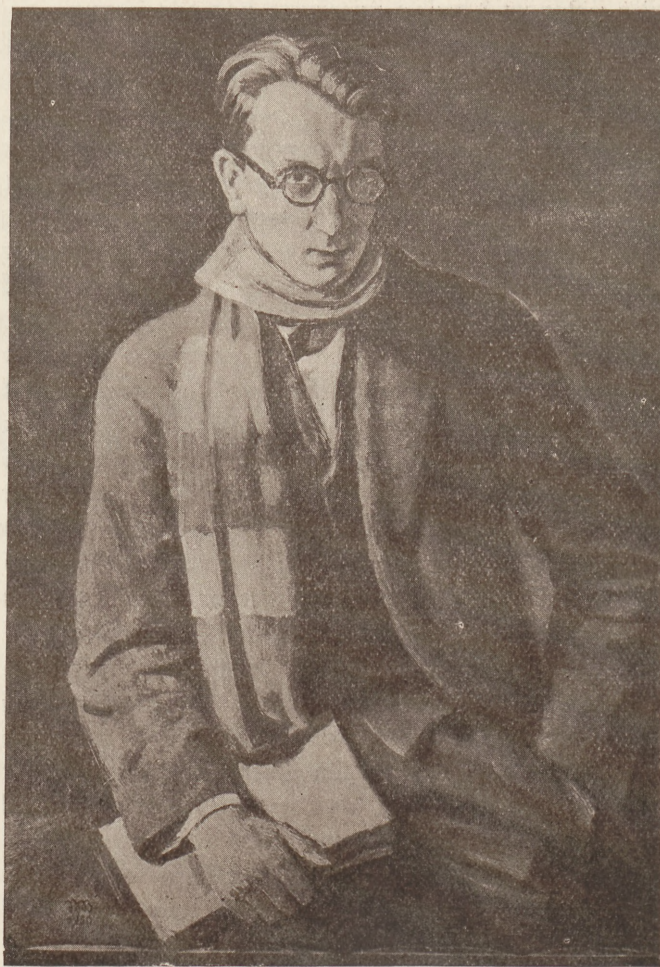
Czy „Komitet“ spełnił swoje zadania? To pewna, że chciał, że starał się. Niewdzięcznością jest krytykować w takich wypadkach. Ale — na przyszłość — dla innych komitetów zjazdowych — uwaga: Legioniści już przeszli dawno

swe lata chłopięce i — rekruckie — z kwaterą „na gołej słomie“ już — wyrosli, trzeba o tem pamiętać raz na zawsze. Chyba — gdyby znowu znaleźli się na wojnie... Ale wtedy potrafią i — bez słomy.

„Niebogatej“ grupie legionowej dano kwatery w jednym z najdroższych hoteli miejscowych. Sierżant legionowy, przewodnik, mocno się o to gniewał w „Komitecie“. Poradziłem mu więc: Niech wystawi w hotelu kwit — a N. K. N. zapłaci. Bo — cóż innego można było zrobić.

Czy Zjazd „udał się“? Czy miał dużą trekwencję? Owszem, dość liczną. Ale na to, żeby Zjazd udał się, jak należy, trzeba, żeby byli na nim wszyscy legioniści, o ile możliwości. A zaś na to, żeby byli, trzeba, żeby — uważali to za swój obowiązek. Szczególnie ci legioniści, którzy doszli do wysokich szarż i godności. To trzeba wyraźnie wiedzieć i — powiedzieć.

Gust. Bolesł. Bmld.



Prof. B. Bartel. „Portret p. A. S.“

Z WYDAWNICTW.

„PRZESILENIE GOSPODARCZE ŚWIATOWE I W POLSCE“.

Polski Zw. Pracowników Kresowców wydał pod powyższym tytułem broszurę p. Jerzego Michalskiego.

Autor omawia na wstępie znamiona i przyczyny przesilenia gospodarczego światowego. Przechodząc do stosunków polskich stwierdza, że jest u nas bardzo wiele przyczyn autonomicznych wpływających na pogłębienie naszego kryzysu gospodarczego. „Źródło ich tkwi w tem, że budując państwowość w Polsce odbiegliśmy zasadniczo, i to w wielu podstawowych kierunkach ustroju gospodarczego i skarbowego, od Zachodu. Chcieliśmy stworzyć jakieś idealne państwo dając olbrzymiej ilości ludności niezwykłe przywileje w dziedzinie pracy, podatkowej, mieszkaniowej, agrarnej itd., przywileje, które gdzieindziej nie istnieją... Te błędy w strukturze gospodarczej i państwowej państwa, popełnione w zaraniu naszej państwowości, zapuszczają coraz większe korzenie, rosną coraz głębiej w dół i coraz wyżej w górę, zgęszczają się coraz silniej, i im dłużej trwają, tem trudniejsze

czynią życie gospodarcze“.

Cyfrowo i plastycznie autor wskazuje na nadmierną ekspansję gospodarstw publicznych na tle tworzenia się gospodarstw prywatnych, anomalje naszego systemu podatkowego, systemu ubezpieczeń społecznych, anomalje w dziedzinie mieszkaniowej, ustroju pieniężnego, niedostateczną ochronę prawną wierzycieli w Polsce.

Autor wysuwa 2 wnioski: I Polska jako członek rodziny państw kultury zachodniej, przechodzi częściowo przesilenie gospodarcze takie, jak inne państwa, częściowo jednak — i to w bardzo przeważającej mierze — przechodzi przesilenie, wywołane przede wszystkim zasadniczymi błędami, jakieśmy zrobili w konstrukcji naszych wielu podstawowych urzędów i zarządów gospodarczych i społecznych. II. Usunięcie a przynajmniej złagodzenie, przesilenia w przeważnej mierze zależy od nas samych. Warunkiem, aby zrobić, co należy, jest przede wszystkim ścisła, obiektywna ocena istniejącego stanu rzeczy. Błądzić — jest rzeczą ludzką. Złą rzeczą jest tylko trwać w błędzie, gdy go się poznało.

Broszura jest napisana bardzo przystępnie, i mimo że zawiera dużo znanych już faktów, stanowi materiał przyczynkowy do diagnozy położenia gospodarczego.

SYLWETKI

EDWARD HAUPT

Urodzony na Pomorzu, osiadły w Poznaniu, wielkopola-
nin zatem, znany rzeźbiarz. Te szczegóły niewątpliwe posia-
dające znaczenie dla książki meldunkowej, dla regionalnego
charakteru sztuki w Wielkopolsce i jej rozwoju nie są bez zna-
czenia. Haupt — rozsiadły swemi pracami nie tylko po pla-
cach i ogrodach Poznania, ale po całej Wielkopolsce niemal,
ba, rezydujący w Louvain, w Bibliotece Diecezjalnej, — doj-
rzały artysta-rzeźbiarz o męskiej swobodzie wypowiedzenia się.

Czternaście lat, które minęły od poważniejszego dolintu
Haupta jako rzeźbiarza w salonach Poznańskich plastyków
pozwalają spojrzeć na dotychczasową twórczość tego artysty.

Pozwalają, nawet zmuszają, do powzięcia sądu o pewnych
liniach rozwojowych jego talentu. Kształcony w pruskiej
szkole pojął dobre rzemiosło, z jego rzeczywistymi tradycjami
do „solidności“.

W rzeźbiarstwie opanowanie rzemiosła, opanowanie jego
środków, jest drogą do zdobycia sobie możliwości w wypowia-
daniu się artysty, drogą do zdobycia faktury i opanowania
formy.

Więc termin w pruskiej szkole, Hauptowi, który tak
wcześnie przez długi różnorodny łańcuch rzemiosła rzeźbiar-
skiego przeszedł, przyspieszył naszemu artyście jego dojrze-
łość rzeźbiarską.

Jak to zawsze bywa, młodemu artyście wypadło zacząć
od dużych kompozycji, nie pozbawionych pewnych cieniów
alegoryj, tych zresztą, które mu w łańcuchowym spadku,
z pewnymi atrybutami wzorów narzucił, wtedy już wielki arty-
sta, Franciszek Flaum.

Flaum, zapatrzony w Rodina, nie mógł pracami swemi
nie wywrzeć wpływu na Haupta.

Wizyjny charakter wielkich kompozycji rzeźbiarskich
Rodina, którego naśladowcą był Flaum, narzuca się przy oglą-
daniu pierwszej wielkiej kompozycji Haupta p. t. „Życie“.

Nie chciałbym być pomienionym o symplistyczne ujmowa-
nie, ale odważę się, powiedzieć, że według normalnego
biegu rzeczy, powinien przysiąc w życiu i pracy młodego rzeź-
biarza, i przyszedł, okres na kompozycje tej natury co: „Sa-
lome“, „Kobiety w futrze“, „Salome II.“ itd. Jednak ten etap
nie był dla Haupta tylko kalendarzowym punktem twórczo-
ści, lecz pozwolił Hauptowi rzeźbiarzowi, znaleźć Haupta ar-
tystę, który skwapliwie dostojność aktu kobiecego na god-
nym poziomie utrzymał, śladem mistrzów tej sztuki, co piękno
ciała kobiecego dawno odkryli.

W tym też czasie monoosobowe kompozycje, artyście cią-
gle nerwowo szukającym siebie, kazały zwrócić się do brył
kompozycyjnych takich jak: „Orka“.

Wojna, i szybko bardzo szybko po niej, następująca spo-
łeczna konieczność spłacenia długu wdzięczności wobec boha-
terów walki o wolność, stworzyła pewien znamieny typ pom-
nikarstwa. Pomnikarstwa na mniejszą skalę. Z którego bar-
dzo łatwo wpaść w monotonię czy maniérę. Haupt i tu wy-
szedł zwycięsko.

Tworzy liczne grupy o pewnym apoteozowym skompo-
nowaniu, „Cud nad Wisłą“, „Wojna“ oraz jednoosobowe, nie-
raz w ruchu, czy pomyśle niezapomniane jak „Żołnierz“ czy
b. dobre studjum „Wołającego żołnierza“.

Charakterystyczna dla twórczości Haupta jest pewna eta-
powość, która pochłania okresy jego prac. Po reminiscen-

cjach wojennych przeszedł Haupt do portretu, oczywiście, jak
smakosz dla spróbowania sił i czucia ręki przechodzi do innych
prac.

Jednak portret, szczególnie w materiale szlachetnym to
Haupt.

Znalazłszy sobie najbardziej odpowiadający rodzaj twór-
czosci, z całą swobodą, posiadany talentem i wiedzą rzeź-
biarską Haupt oddaje się portretowi.



E. Haupt „Prawo Ziemi.“

Szereg portretów: „Gen. Haller“, „Ligocki“, Zegadłowicz
Pani Wroniecka rozsianych po naszych muzeach, czy zbiorach
prywatnych. Oto dziedzina, — nieomal regionalna domena
Haupta.

Technika, łatwość oddawania podobieństwa, ze śmiało-
ścią w traktowaniu formy to cechy, które charakteryzują por-
trety naszego rzeźbiarza.

Haupt nie gardzi tak zwaną sztuką stosowaną, czy mniej
czystą. Wystarczy przypomnieć sobie jego dłuta amorki,
zdobiące wejście do Parku Wilsona, czy marabuta przy po-
znańskim zwierzyńcu, lub szereg rzeźb na P. W. K. St. Z.

Największą pewność
daje Waszym wkładom

Komunalna Kasa Oszczędności
w Szubinie.

R. MOSS.

Polihymnia na hali

Nie! To nie ta, co wczoraj szła w stronę Kościelca rozebrana w kostjum kąpielowy, hybocząca się lekko w sarnim kroku, gdy za nią włókł się jej mąż, obarczony olbrzymim plecakiem z całym dobytkiem dwóch osób.

Nie to nie była Polyhymnia, choć może na jej kształtów częściej niejednen hymn i niejedna elegia były skomponowane.



Polihymnia zamieszkała u mojego gazdy w kuchni i przemówiła do mnie najpiękniejszą góralską mową. Oprócz mnie słuchały jej dwa barany, chodzące za gazdą jak psy, i kot, który je wtedy, gdy się go zachęci słowami: — jedz, boś ty ładny — i kury, i

krowy, ba nawet pająk zasłuchiwał się w jej gawędy i bezczynnie zawisł nad moją głową.

I tu widziałem polskiego Eudymniona — rycerza. Tego prawdziwego — z wichrem u czoła i z tarczą chmur na piersi. W kamiennym czole snuje swój nieśmiertelny sen o wolności. Synowie jego chodzą u jego stóp i krzyczą pieśni junackie.

Jeden z nich — Gazda u którego mieszkam — w tajemniczył mnie w czary gór. Mówił mi cichym głosem o skarbach, o złocie, którego ów rycerz zaśnieży pilnuje.

— „Sa — panie — syćkie skarby w tych górak, jest i złoto, ale musimy poczekać do innych czasów, aby je wydobyć. Jo wos zaprowadze w takie miejsce, gdzie się ono znajduje. Ja w Hameryce płukolek złoto, to się na tem znam.“

Żyję więc w nadziei zrobienia majątku. Tymczasem słucham opowieści o dziwach, które się działy i nie działy.

„Piokek był, — dopóki w Hameryce nie skasował wódki. Od tego casu nie pijem. Mądry chłop zawsze się dorobi. Polocy som mondre. Ni mozo pedzieć, zeby byli gupi. Nic też to nie skodzi, ze ich redukujom. Prędzej cegoś się będą chytać, to moze co i wymyślą. Gupi tylko nieda sobie rady, jak go redukujom.“



Z gazdynią rozmawiałem o nadmiarze urodzin w Polsce. Znakomity Boy - Żeleński ani nie wie, że drugą po nim osobą, walczącą o te same hasła — jest moja gazdynia.

„Jakzesbym ta chowała moje dzieci, żeby im więcej jak troje miała. Chop mój był pijok, nic nie robiel. Przysed do domu, to się wywrócił kopytami do góry, a pseciez moje dzieci i były ubrane i do szkoły chodziły i kazde

coś ma w rękak. A nos somsiad? Nie był pijok i sam koło dziecek chodziel a co z tego?; kiej ich było dwa-nościoro. Sześć synów i sześć córek. Syćko do nicego. Synowie w kryminale ciągle siedzą, córki pozarazane — bez tą nędzę. Jo sie spowiadała u ksiendza, ze chłop pędzę od siebie, a on mi na to, ze rebecki się rodzą i żyć, ze ptoseci tez zyjom choć nikt o nik niedba. A jo na to: — Tak, ale rebecki nie potsebuja ubrania a na ptosecach piórka same rosnom. Półtora godziny mnie trzymoł. Syćka ludzie gódołi w k ościele: — „Ta musiała nakraść, ze sie tak d'ugo spowiada. Ale pseciez psekonałam ksiendza, ze doł mi rozgzysenie. A ino! Cóż ta będzie nas strasył rebeckami i ptosecami“.

Jakże się nie upajać tą cudną mową góralską i nie podziwiać rozum tych ludzi. A jednak to nie jest prymityw. Ustami ich przemawia odwieczna kultura a jej oblicze przejawia się w dziełach ich rąk. Co zrobią jest piękne. Ileż wdzięku w tych kapliczkach, studzienkach, sprzętach.

A w Zakopanem — mieście życie turystyczne kipi. Gromady uporteczonych izraelitek kupują kartki i fotografują się przy każdym kamieniu. Niepoślednią rolę odgrywa w tem sławny Mróz pozując do



zdjęć wspólnych, za skromnem wynagrodzeniem.

Jakże mi się przesławny kobziarzu.

Co krok spotyka się Poznańczyków.

Zdaje się, że obecnie Zakopane żyje z Poznania. Harcerzy innych, jak z Poznania nie widziałem. Towarzystwo od Dobskiego spotyka się na Hali Gąsienicowej. Niutuś i znaczna część Wielkopolan — rozbili namioty od Poronina aż po Nowy Targ.

Spotkany red. Tranda zaraz mnie powiadomił, że bawią tu państwo Truchimowie, Roguski ze swoją szkołą, Zych, Majkowski, Lisicki, Rożek. Na zakręcie mówi mi Roguski, że bawią tu — Tranda, Truchimowie, Zych, Majkowski i Li... W parku łapie mnie Majkowski i wylicza przybyłych tu... j. w. Pełno radości i krzyku. Najgodniej reprezentuje poznańskich lwów — inż. Małinowski — zawsze piękny i zawsze dostoyny.

Sztuka zakopiańska wypowiedała się na dorocznej wystawie; pędzlami — Witkiewicza, Kamockiego, Gałka, Rykały, Hanemana, Olszowskiego, Szostaka (malarza na szkło), oraz gliną — Sobczaka i Brzegi. Olszowski zbiera zasłużone pochwały za wyniki pracy osiągnięte w szkole przemysłu drzewnego.

A Trzaska — trzaska od natłoku tańczących. Z tego samego powodu — pękają „brzegi“ Morskiego Oka, n. b. tego na Krupówkach. Znaczyło to tutaj: — sielavus saltans. Ruch i szlagiery nieznośne, — jedynie sikława szemrze swoją fantastyczną nutę, która nigdy się nie znudzi.

Z GALERJI RACZYŃSKICH W POZNANIU.



Bernardo Strozzi

„Urowadzenie Europy“.

Izmael Korostovetz

OSTATNIE SPOTKANIE CARSKIE

III.

z rosyjskiego tłómaczył Mikołaj Arciszewski.

Poznań, w lipcu 1931 r.

Wilhelm był niezwykle gościnnym gospodarzem. Sta-
rał się każdemu powiedzieć coś miłego i zaimponować swemi
wiadomościami i urokiem osobistym.

Zobaczywszy huzarski mundur generała Suchomlinowa,
podszedł do niego i zawołał: „Cieszę się niezmiernie z spot-
kania z wybitnym kawalerzystą. Kawalerja to królowa bro-
ni, to moja ulubiona broń.

Nie trzeba mówić, że Suchomlinow, dla którego nie ist-
niało nic poza jazdą, rozpłynął się zupełnie w szczęśliwym
uśmiechu, gdy cesarz dodał w końcu: — „Nie wiem, czy Pan
generał pamięta, że służyłem niegdyś pod jego rozkazami.“

Rzeczywiście w roku 1891, gdy Wilhelm był obecny na
manewrach pod Narwą w czasie promocji oficerów kawa-
lerji generał Suchomlinow dowodził całością, w skład której
wchodził również wyborski pułk Wilhelma. Wilhelm obecny
jedynie jako widz zapragnął koniecznie poprowadzić oso-
biście szarżę swego pułku, nie przewidzianą zresztą w pro-
gramie. Starzy generałowie pokiwali głowami, ale wydano
odpowiednie rozkazy i kajzer z teatralnym gestem poprowa-
dził swój pułk do ataku. Skutkiem strategicznych zdolności
„szefa“ pułk znalazł się w bagnie, z którego powoli dopiero
udało mu się wygramolić. Nie mniej Wilhelm zawsze z przy-
jemnością wspominał swój atak pod Narwą i lubił o niej opo-
wiadać.

Podszedłszy do admirała Grygorowicza koronowany go-
spodarz zaczął opowiadać mu szczegółowo o odporności fal
morskich na kurz, co niezmiernie wzruszyło starego ministra
marynarki, który w czasie długiej swej kariery nigdy się nad
tą kwestją nie zastanawiał.

Teraz była kolej na Sazonowa. Wybitny dyplomata nie
bardzo się palił do rozmowy z Wilhelmem, tem niemniej wy-
czuwano, że teraz dochodzi do punktu „kulminacyjnego za-
biegów „dyplomatycznych“ cesarza - „dyplomaty“. Odpro-
wadziwszy ministra na bok przechadzać się zaczął z nim
wzdłuż pokładu. Widziałem z jakim ożywieniem i gestyku-
lacją opowiadał coś ministrowi. Ten ostatni z szacunkiem
schyliwszy głowę, od czasu do czasu coś wtrącał. Stałem obok
premiera hr. Kokowcewa, który również z zaciekawieniem
śledził za przebiegiem rozmowy. Blisko godzinę spacerował
Wilhelm z ministrem, aż nagle znieczcierpliwiony nieco powró-
cił do gości. Sazonow, z którym łączyły mnie przyjacielskie
stosunki, często opowiadał mi przebieg tej ciekawej roz-
mowy.

Wilhelm skarżył się na niebezpieczeństwo angielskie.
Mówił o swej nienawiści do Wielkiej Brytanji. Nie radził li-
czyć na Francję.

— „Teraz musicie — mówił kajzer — zająć się zabez-
pieczeniem granic wschodnich. Europie grozi żółte niebez-
pieczeństwo. Największym złem są Chiny i Japonja. Jestem
zdania, że wszelkie wysiłki wasze skoncentrować powinni-
ście na dalekim wschodzie. Tam rzucić trzeba wszystkie siły
zbrojne!“

Gdy zdziwiony nieco radami kajzera Sazonow wtrącił,
że Jego Cesarska Mość raczyła zapomnieć, że granice wscho-
dnie ciągnące się na przestrzeni 8000 wiorst nie mogą być le-
piej zabezpieczone, niż w chwili obecnej, Wilhelm zaczął mu
robić wyrzuty, że Rosja nie pamięta o tem, że on tylko poma-
gał jej w wojnie japońskiej. On był jedynym szczerym wro-
giem Japonji i całą amunicję, którą wojska rosyjskie otrzy-
mały z Niemiec, zawsze przeznaczał na zwalczanie żółtego
niebezpieczeństwa.

Uwagi te wykorzystał Sazonow w chwili, gdy w dwa
lata później po wybuchu wielkiej wojny światowej decydo-
wało się stanowisko Japonji. Wówczas powtórzone ambasa-
dorowi a późniejszemu ministrowi spraw zagranicznych Ja-
ponji Motono słowa Wilhelma nie pozostały bez wpływu na
ustosunkowanie się „żółtego niebezpieczeństwa“ do państw
centralnych.

Na pożegnanie cesarz Wilhelm wręczył kilka orderów.

Między innymi, pomimo „złego stanu dróg w mojej pro-
wincji“ przepasał mnie wielką wstęgą Korony Pruskiej.

Ostatniego dnia na „Hohenzollernie“ odbyło się przy-
jęcie dla oficerów wyborskiego pułku. O ile przyjęcia urzą-
dzone dla cara i świty carskiej odznaczały się zwykle wiel-
kim przepychem, o tyle przyjęcie dla oficerów wyborskiego
pułku było więcej niż skromne. Wracali z rozczarowaniem
mianami. Skromnych oficerów, z których wielu latami ma-
rzyło o tem, by kiedykolwiek być na przyjęciu u koronowa-
nego szefa spotkało rozczarowanie. Wilhelm zdecydował
w tym wypadku zrobić oszczędności. Ostatniego dnia ofice-
rowie marynarki rosyjskiej zaproszeni zostali na okręty nie-
mieckie celem ich zwiedzenia. Był to gest, którym Kajzer u-
dowodnić chciał tylko do jakiego stopnia jest przychylnie do
Rosji usposobiony, pozwalając oficerom eskadry carskiej za-
glądać w tajniki swej floty wojennej. Oficerowie radzi byli

sposobności zwiedzenia statków niemieckich. Wrócili również rozczarowani jak i ich lądowi koledzy z wyborskiego pułku.

— „Niech Pan generał wierzy — mówił mi jeden z uczestników wyprawy, młody mierman — że nie ujrzelśmy nic ciekawego. Wśród statków wojennych, eskortujących Wilhelma nie było ani jednego nowego typu. Wszystko to stare okręty, dobrze nam znane. Nie widzieliśmy nic nowego, nie poznaliśmy żadnego nowego szczegółu. Widocznie wspaniałe okręty wojenne, cuda techniki morskiej, chowa cesarz do celów mniej reprezentacyjnych.“

Wreszcie nastąpiło pożegnanie dwóch cesarzy. Znowu grzmiały armaty, łopotały bandery. Podniósłszy kotwice, jachty cesarskie opuściły port bałtycki.

Cesarz Mikołaj pożegnał mnie bardzo łaskawie, dziękując za wzorowy porządek i polecając zaopiekować się powracającymi drogą lądową Reichskancelerzem v. Bethmann-Holweg i hr. Mirbachem. Przez dzień cały podejmowałem ich w Rewlu, pokazując zabytki historyczne, twierdze, kościoły. Dzień zakończył się obiadem, w którym udział wzięli również najwybitniejsi baronowie mojej prowincji. Kto mógł przewidzieć wówczas, że siedzący przy stole moim uprzejmy, wesoły kanclerz niemiecki równo w dwa lata później wypowie swe historyczne słowa o traktatach, które są tylko skrawkami papieru.

Dwadzieścia lat niespełna minęło od tych dni pamiętnych. Często myślę o tych przyjęciach na jachtach cesarskich. Co dzieje się z ich uczestnikami? W ciemnej piwnicy

syberyjskiej śmiercią męczeńską zginął cesarz. Okrucieństwo czerwonych katów nie oszczędziło carskiej rodziny. W nieludzki sposób zamordowano nieszczęsną cesarzową, młodego następcę tronu, wielkie księżniczki. Dziś jeszcze jak żywe wstają przede mną uśmiechnięte twarzyczki księżniczek, śliczne smutne oczy carewicza. Zdała od kraju rodzimego zamknął oczy wódz naczelny armii rosyjskiej Wielki książę Mikołaj Mikołajewicz. W nędzy umarł na wygnaniu najwspanialszy oficer konnej gwardii cesarskiej długoletni minister dworu hrabia Fredericks. Nie żyje sędziwy marszałek dworu hrabia Benckendorff. Umarł Sazonow. Służbista Zajączkowski zapomniał o złotych szlifach generalskich i w miejsce dawnych gwiazd i orderów przyczepił czerwoną kokardę — order tchórzostwa i hańby.

Hańbą pokrył swe imię kanclerz v. Bethmann-Holweg. Przeszedł do historii, zostawiając po sobie ślad zgłiszcz i ruin spalonej Belgii.

Zginął od bomby na ulicach czerwonej Moskwy hr. Mirbach, pierwszy ambasador niemiecki w Sowdepji. Zginął od bomby tych, na czyje utrzymanie przez długie lata płynęły miliony niemieckiej defensywy. Skończył się Wilhelm II. Nie umiał godnie przejść do historii, wołał uciec do wygodnej willi holenderskiej. Szczęśliwy zaślepieniec nigdy nie zrozumiał całej grozy tego, co długie lata rządów jego nawarzyć potrafiły.

Dużo się zmieniło przez ostatnie lat dwadzieścia.

Koniec.



Centralna Poznańska Fabryka

Wyrobow Gumowych

Poznań - Spółka Akc. - Starołęka

Wyrabia

opony samochodowe

i rowerowe

STOMIL

Pierwsza w Polsce fabryka opon samochodowych pierwszorzędnej jakości, nie ustępującej towarom zagranicznym.